

Cel Państwa Islamskiego

Celem Państwa Islamskiego nie jest, jak było w przypadku Al-Kaidy, zniszczenie Zachodu, nawet jeśli groźby podbicia Rzymu oraz ścinanie głów zachodnich zakładników są częścią jego propagandy. Dżihadyści IS chcą zjednoczyć świat arabski pod jedną władzą



Celem Państwa Islamskiego nie jest, jak było w przypadku Al-Kaidy, zniszczenie Zachodu, nawet jeśli groźby podbicia Rzymu oraz ścinanie głów zachodnich zakładników są częścią jego propagandy. Dżihadyści IS chcą zjednoczyć świat arabski pod jedną władzą

Bliski Wschód uważany jest za jeden z kluczowych obszarów na drodze do dominacji nad kontynentem eurazjatyckim; dlatego nieprzerwanie znajduje się on w centrum zainteresowania mocarstw. Konflikt w Syrii,

zrodzony z powstania przeciwko dyktaturze Baszara al-Asada, zamienił się w krwawą wojnę domową, na którą nakłada się szyicko-sunnicka wojna zastępcza (proxy war) oraz rywalizacja światowych supermocarstw.

Z jednej strony mamy blok szyicki (alawicki rząd Syrii, szyicki rząd w Iraku, Hezbollah w Libanie), z drugiej zaś blok sunnicki (kraje Zatoki Perskiej, Turcja), w którym przywódczą rolę odgrywa Arabia Saudyjska; oba bloki walczą ze sobą o dominację gospodarczą oraz polityczną w regionie. Szyicki blok jest wspierany przez Rosję, a sunnicki przez USA, których głównym sojusznikiem na Bliskim Wschodzie pozostaje (poza Izraelem) właśnie Arabia Saudyjska.

Szyici przez wieki stanowili prześladowaną mniejszość na Bliskim Wschodzie. I postrzegają sunnitów jako uzurpatorów władzy. W islamie nie ma podziałów wynikających z różnic dogmatycznych. Sunnitów i szyitów dzieli kwestie polityczne, interpretacja prawa, a nade wszystko spór o przywództwo po śmierci Mahometa. Podział na szyitów i sunnitów był wynikiem wojny, która wybuchła w drugiej połowie VII wieku między zwolennikami czwartego kalifa, Alego (zięcia i stryjecznego brata Mahometa), a sprzymierzeńcami dynastii Umajjadów. W wyniku tego konfliktu w 680 roku śmierć poniósł syn Alego, Husajn. Tragicznym wydarzeniem spod Karbali tradycja szyicka nadała znamiona męczeństwa. Zwolennicy Alego, czyli szyici [od *szī'at* Ali, dosłownie „stronnictwo Alego”], uznali, że rodzina Proroka padła ofiarą niesprawiedliwości. Najpierw po śmierci Mahometa, kiedy władzy nie przekazano Alemu, a następnie, gdy zabito jego syna i podległych mu ludzi. W tym kontekście szyici wypracowali własną koncepcję przywództwa duchownego i zarazem politycznego. Istotną rolę w tej koncepcji odgrywa przekonanie, że przywódcą wspólnoty

muzułmańskiej musi być potomek Alego. Szyici utrzymują, że ostatni imam z rodu Proroka nie umarł, lecz przebywa w ukryciu i powróci jako Mahdi, wybawiciel, tuż przed końcem świata, aby zaprowadzić na ziemi sprawiedliwość. O Mahdim mówił na forum ONZ wielokrotnie m.in. były prezydent Iranu Mahmud Ahmadineżad.

Konflikt między sunnitami i szyitami, za sprawą wojny domowej w Syrii, zastąpił dziś w dużej mierze konflikt arabsko-izraelski, stając się główną areną walk na Bliskim Wschodzie. Konfrontacja dwóch odłamów islamu nie byłaby jednak tak zajadła, gdyby nie interesy dwóch regionalnych potęg: szyickiego Iranu i sunnickiej Arabii Saudyjskiej. Oba kraje toczą ze sobą grę o sumie zerowej, w której zysk jednego gracza oznacza stratę drugiego. W Syrii Rijad robi co może, by zmusić reżim Asada do negocjacji własnego upadku, włącznie z wspieraniem, militarnym i finansowym, bojowników Państwa Islamskiego oraz innych radykalnych grup sunnickich. Iran działa w przeciwną stronę, wysyłając osłabionym władzom w Damaszku posiłki w postaci szkolonych przez elitarny Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej szyickich milicji, oddziałów libańskiego Hezbollahu oraz dostaw broni. Rijad i Teheran toczą ze sobą także zastępczą wojnę w Jemenie. Ponieważ szyicka rewolta Houthich w Jemenie zagraża sunnickiemu porządkowi na Półwyspie Arabskim, dając Iranowi dostęp do strategicznych portów nad Morzem Czerwonym oraz Zatoki Adeńskiej, to wszystkie – poza Omanem – kraje Półwyspu (Arabia Saudyjska, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Bahrajn i Kuwejt) wystąpiły ze wspólną interwencją militarną.

Walka o wpływy i dominację między Arabią Saudyjską a Iranem toczy się pod przykrywką, i na terenie państw trzecich, od dawna. Gdy Iran w 1979 r., za sprawą rewolucji islamskiej, stał się państwem szyickim,

Arabia Saudyjska zaczęła agresywnie propagować wahhabizm, ortodoksyjny prąd islamu, uchodzący za najbardziej rygorystyczną wśród doktryn sunnickich. W wielu państwach arabskich zaczęło dochodzić do wybuchów sekciarskiej przemocy. W niemal wszystkich przypadkach jej źródła znajdowały się w Rijadzie bądź Teheranie. Arabia Saudyjska w latach 1980-88 udzieliła Irakowi wsparcia w wojnie z Iranem. Finansowała także bojowników w Pakistanie i Afganistanie, walczących ze Związkiem Sowieckim, który najechał ten kraj w 1979 r., by przy okazji tłumili szyckie ruchy inspirowane lub wspierane przez Iran. Teheran zaś wspierał szyckie ruchy, choćby Hezbollah oraz Ruch Amal w Libanie, które po wycofaniu się sił Organizacji Wyzwolenia Palestyny przejęły przewodnictwo w walce z siłami prawicowych chrześcijan i Izraelem. Iran miesza także w izraelsko-palestyńskim kotle, wspierając Hamas w strefie Gazy.

W ostatnich latach, za sprawą amerykańskiej inwazji na Irak, zdecydowanie zyskał na znaczeniu w regionie. Dziś Irakiem rządzą wspierani przez Teheran szyici, a USA podjęły decyzję by zakończyć wieloletnią izolację Iranu, wynikającą z jego programu atomowego, i zdjąć nałożone na kraj sankcje. Perspektywa posiadania przez Iran broni atomowej wywołała w krajach arabskich, w szczególności sunnickich monarchiach, duży niepokój. Tym większy iż Arabska Wiosna znacznie osłabiła geopolityczną pozycję Arabii Saudyjskiej. Rijad widzi w konflikcie w Syrii więc ostatnią szansę na to by ograniczyć wpływy Iranu w regionie. Teheran zaś jest zmuszony walczyć (w Libanie, Jemenie, Syrii i Iraku) w obronie swojej strefy wpływów, z mozołem budowanej przez ostatnie trzy dekady.

USA odgrywają kluczową rolę w toczącym się na Bliskim Wschodzie konflikcie. Po pierwsze miały duży udział w jego zaostrzeniu. Zadeklarowanym celem amerykańskiej interwencji zbrojnej w Iraku w 2003 r. było obalenie zbrodniczej dyktatury Husajna i zapewnienie ponad 30 mln Irakijczyków dobrodziejstw demokracji w zachodnim wydaniu. Zamiast tego doprowadziła do krwawego odwetu sunnitów, którzy dzięki niej utracili władzę. Stany Zjednoczone obaliły dyktatora i rozbiły struktury irackiego państwa. Partia Baas została brutalnie wyparta z życia politycznego. Tym samym Waszyngton zniszczył hegemonię, którą sunnici cieszyli się w Iraku przez ponad tysiąc lat. W 2005 r. Amerykanie ustanowili zdominowany przez szyicką większość rząd kierowany przez premiera Nuriego al-Malikiego. Następnie usiłowali zamienić go w rząd jedności narodowej i zintegrować w nim w latach 2006–2008 także sunnitów. Ale ich starania spełzły na niczym. Sunnici nie mogli się pogodzić z utratą władzy, a szyici zapomnieć o torturach i upokorzeniach, których doświadczyli pod dominacją sunnickiej mniejszości. Irackie wojsko zostało rozwiązane. Usunięto z niego niemal całą kadre oficerską składającą się głównie z dawnych zwolenników Husajna. Oczyszczenie życia publicznego z członków partii Baas pozostawiło kilka milionów sfrustrowanych sunnitów bez widoków na przyszłość. Wielu z usuniętych oficerów usiłowało wrócić do szeregów armii. Gdy im odmówiono, przyłączyli się do Państwa Islamskiego.

To dzięki weteranom armii Husajna zwanym potocznie armią Nakszbandiego, Państwo Islamskie dokonało swych największych militarnych zwycięstw, m.in. podboju drugiego co do wielkości miasta Iraku, Mosulu. Armią Nakszbandiego dowodzi były wiceszef rady rewolucyjnej Husajna Izzat Ibrahim al-Duri. Na frustrację pokonanych nałożyło się zniszczenie irackiej gospodarki oraz infrastruktury.

Rozpoczęła się walka o dostęp do zasobów ropy. Korupcja osiągnęła poziom endemiczny. Amerykanie wydali miliardy na programy demokratyzacyjne, ale osiągnęli efekt przeciwny do zamierzonego. Większość dochodów z surowców płynęła prosto do kieszeni szyitów, zwiększając frustrację sunnitów i Kurdów wykluczonych z podziału tortu. Dziś Irak jest praktycznie państwem upadłym i grozi mu rozpad na trzy części: szyickie południe, sunnicko-kurdyjską północ i sunnicko-arabski zachód.

Kolejnym błędem Amerykanów było poparcie dla rebeliantów walczących z reżimem Asada w Syrii.

Wolna Armia Syryjska okazała się słaba i szybko została wyparta przez bardziej radykalne sunnickie ugrupowania, które przejęły dostarczone przez Zachód, głównie USA, uzbrojenie. Kłopoty Asada – na początku rebelia odniosła szereg sukcesów – zmusiły Iran do wtrącenia się do konfliktu w Syrii, co znów zmobilizowało Arabię Saudyjską do niesienia sunnickim rebeliantom pomocy. Konflikt Syrii zamienił się w wojnę zastępczą między Rijadem a Teheranem, i to w chwili, gdy Waszyngton rozpoczął negocjacje z Iranem ws. jego programu atomowego. Wyciągnięcie ręki do Iranu rzuciło poważny cień na relacje Waszyngtonu z Rijadem. Oraz na stosunki z innym kluczowym sojusznikiem USA - Izraelem.

Amerykanie nie mają żadnego pomysłu na to, jak obecny konflikt zażegnać. Na dodatek znaleźli się w potrzasku. Prowadzą tak naprawdę nie jedną, a dwie wojny: jedną w Syrii, ze wsparciem sunnickich krajów Zatoki Perskiej i Kurdów przeciwko Asadowi, oraz drugą w Iraku, z cichym wsparciem Iranu i szkolonych przez niego szyickich

bojowników. Nikt nie wie, jak to wszystko ma się kiedykolwiek złożyć w całość, a planiści w Pentagonie najwyraźniej doszli do wniosku, że cokolwiek by nie zrobili, tylko pogorszą sytuację. Brak gotowości do interwencji lądowej w celu pokonania Państwa Islamskiego jest więc dyktowana nie tyle zmianą strategii polityki zagranicznej za prezydentury Baracka Obamy, ze strategii deep engagement (głębokiego zaangażowania) na rzecz tzw. strategii retrenchment (wycofania się), co przekonaniem, że stabilność na Bliskim Wschodzie, gdy istniała, nie wynikała z zaangażowania USA, tylko przeciwnie, z ich powściągliwości.

Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że w czasach niepewności gospodarczej i cięć w budżecie wojskowym Stanów Zjednoczonych, prowadzenie ekspansywnej polityki na Bliskim Wschodzie stało się po prostu zbyt kosztowne. Zgodnie z tym poglądem, USA, podobnie jak niegdyś Wielka Brytania, stały się ofiarą własnego „imperialnego rozręczenia”. Polityka USA wobec Bliskiego Wschodu, polegająca na faktycznym przyjęciu postawy „konstruktywnego niezaangażowania”, jest dla Arabii Saudyjskiej czytelnym sygnałem, że nastały nowe czasy. Czasy, w których dotychczasowi bliskowschodni sojusznicy i partnerzy Waszyngtonu (zarówno ci arabscy, jak i sam Izrael) są – w długofalowym, strategicznym ujęciu – zdani faktycznie na własne siły i środki. Ze wszystkimi tego konsekwencjami dla bezpieczeństwa regionu i sytuacji tychże państw.

Ogromne zagrożenie dla Arabii Saudyjskiej stanowią islamscy ekstremiści sunniccy. Rijad próbował i wciąż próbuje ukierunkować sunnicką rebelię, m.in. w Syrii, na swoją geopolityczną korzyść, ale z nikłym sukcesem. Saudowie usiłowali także wpłynąć na Państwo Islamskie, wspierając je m.in. finansowo, by osłabić Iran, ale ta broń

obróciła się przeciwko nim. Dżihadyści, którzy wypełnili próżnię powstałą po al-Kaidzie nie ukrywają, że ich celem jest nie tylko stworzenie kalifatu na terenie Iraku i Syrii ale zjednoczenie całego świata arabsko-sunnickiego pod flagą IS. Otwarcie kontestują rolę przywódczą Rijadu.

Państwo Islamskie jest czymś więcej niż zwykłą organizacją terrorystyczną. Wymaga terytorium i stałych struktur dla legitymizacji swojej władzy. Ma długofalową wizję, wykraczającą daleko poza mordowanie. Mariaż radykalnych islamistów, czerpiących inspirację z wahhabizmu, z byłymi członkami – pozbawionej władzy przez Amerykanów – irackiej partii Baas, którzy wiedzą, jak zorganizować państwo policyjne, okazał się bardzo efektywny. IS dąży do ustanowienia kalifatu łączącego elementy nowoczesnego państwa z oczyszczonym z modernistycznych wpływów salafickim islamem (z arab. al salaf al salih – pobożni przodkowie), najpierw w Iraku i Syrii, przekraczając ustanowioną przez francuskich i brytyjskich kolonizatorów linię Sykes’a–Picota, która dla Arabów jest symbolem imperialnej dominacji Zachodu, a następnie na całym Bliskim Wschodzie.

Celem Państwa Islamskiego nie jest jednak, jak było w przypadku Al-Kaidy, zniszczenie Zachodu, nawet jeśli groźby podbicia Rzymu oraz ścinanie głów zachodnich zakładników są częścią jego propagandy. Dżihadyści IS chcą zjednoczyć świat arabski pod jedną władzą, usuwając po drodze wszystkich kafir, niewiernych, do których zaliczają nie tylko chrześcijan, jazydów, szyitów i alawitów, lecz także umiarkowanych sunnitów. Taktyka zwana takfir, polegająca na uznaniu braci w wierze za „nieczystych”, za apostatów, co pozwala ich następnie zabić, służy do tłumienia oporu na podbitych przez IS terytoriach.

Obecność działaczy partii Baas w szeregach IS wprowadziła do jego ideologii elementy arabskiego nacjonalizmu, opartego na hasłach jedności Arabów. Niektórzy wręcz twierdzą, że ruch, którego celem jest zakotwiczenie politycznego islamu w świecie zdominowanym przez państwa narodowe, nie jest niczym innym niż starym reżimem Baasistów, tyle że ubranym w hidżab. Jego bojownicy nie są zaślepionymi religijnymi fanatykami. W przeciwieństwie do Bin Ladena i jego zwolenników, którzy czcili męczeństwo jako formę posłuszeństwa Bogu, dającym nagrody w niebie, IS chce przede wszystkim ziemskiej władzy.

Mariaż średniowiecznej wizji islamu z ideą państwową może się wydawać absurdalny. Jednak siła przyciągania Państwa Islamskiego stale rośnie, odkąd w czerwcu ubiegłego roku dżihadyści proklamowali utworzenie swojego dawła, czyli państwa, na części terytoriów Iraku i Syrii. IS działa racjonalnie, łącząc brutalną przemoc ze sprawną administracją, co paradoksalnie – po latach wojny, zagranicznych interwencji i niepewności – zwiększa u miejscowej ludności poczucie stabilności. Kalifat, który Państwo Islamskie chce ustanowić, ma być państwem opartym nie na dyktaturze, lecz na przyzwoleniu społecznym. Na zajętych przez siebie terenach IS stanowi prawo, wydaje dowody osobiste, prowadzi administrację, ściąga podatki, wypłaca pensje i emerytury oraz zapewnia mieszkańcom bezpieczeństwo.

Mordy, gdy mają miejsce, służą konsolidacji władzy. IS opiera się przy tym na opracowanej przez jednego z ideologów Al-Kaidy strategii pod tytułem „Zarządzanie Barbarzyństwem”. Abu Bakr Nadżi uważał, że zabójstwa są „koniecznością na drodze do ustanowienia kalifatu”. W

„Zarządzaniu Barbarzyństwem” argumentuje, że należy zaatakować słabe wewnętrznie państwa i osłabić je dodatkowo tytułowym barbarzyństwem, aż nie będą w stanie się dłużej bronić. Próżnię powstałą po tych państwach należy następnie wypełnić, dostarczając te same usługi oraz opiekę, które one dostarczały. Klasyczna funkcja państwa połączona z prawem szariatu „zrodzi w końcu kalifat”.

I tak właśnie stało się w Iraku. Kalifat tworzony przez IS jest państwem zbrodniczym, amoralnym, ale wysoce funkcjonalnym. Na dodatek brakuje alternatywy. Sunnici w Iraku są wrogo nastawieni do szyickiego rządu w Bagdadzie, a Baszar al-Asad jest tak samo znienawidzony, jak walcząca z nim Wolna Armia Syryjska. Naloty prowadzone przez międzynarodową koalicję pod wodzą USA nie wystarczą więc, by pokonać dżihadystów. Tym bardziej iż Arabia Saudyjska wkłada obecnie większy wysiłek w interwencję w Jemenie niż w walkę z IS, a kolejny kluczowy gracz – Turcja- jest zajęty walką z Kurdami.

Turcja, gdzie dominują sunnici, uznaje syryjski reżim za swojego wroga. By pozbyć się Asada, Turcja udzielała schronienia syryjskim uchodźcom, gościła przedstawicieli syryjskiej opozycji (Syryjska Rada Narodowa została powołana w Stambule w 2011 r.), organizowała spotkania „grupy przyjaciół Syrii” oraz zezwalała członkom Wolnej Syryjskiej Armii na utrzymywanie baz na swoim terytorium. Gdy z syryjskiej wojny domowej wyłoniło się Państwo Islamskie, Turcja również udzieliła mu „cichego” wsparcia.

Ankara miała regularnie dostarczać dżihadystom broń, otrzymując w zamian ropę z irackich pól naftowych, przejętych przez IS . Nie udostępniała też międzynarodowej koalicji przygranicznej bazy

lotniczej Incirlik, a przede wszystkim nie robiła wiele dla uszczelniania granic kraju. Dla Erdoğana ścinający głowy dżihadyści byli mniejszym zagrożeniem niż możliwość reaktywacji strategicznego sojuszu między reżimem w Syrii a Partią Pracujących Kurdystanu (PKK), dążącą do ustanowienia niepodległego kurdyjskiego państwa, na pograniczu Turcji, Syrii, Iranu i Iraku.

Erdoğan zawarł więc coś w rodzaju „paktu o nie-agresji” z IS. Rozumując zgodnie z zasadą „dziel i rządź”, wyobrażał sobie, że skorzysta na konflikcie zbrojnym między Kurdami a Państwem Islamskim, czekając, jak obie strony się wykrwawią. Licząc jednocześnie na to, że Asad zostanie obalony i władze w Syrii obejmą umiarkowani islamiści, bądź świeckie siły, szkolone przez Amerykanów.

Kalkulacje te okazały się jednak błędne. Kurdowie, wbrew oczekiwaniom, dalej odnosili sukcesy w Syrii, Amerykanom udało się wyszkolić zaledwie 60 bojowników Wolnej Armii Syryjskiej, Asad utrzymał władzę, a IS jednocześnie poszerzył swoje wpływy w regionie. Zmiana strategii Ankary nastąpiła 20 lipca po zamachu w tureckim mieście Suruç, w którym zginęły 32 osoby. Turcja, chcąc nie chcąc, musiała zareagować. Zmobilizowała więc wojska wzdłuż granicy z Syrią, przerwała szlaki dostaw dla Państwa Islamskiego, udostępniła Amerykanom bazę lotniczą w Incirlik i rozpoczęła naloty na pozycje IS w Syrii.

Jednocześnie otworzyła jednak drugi front walki, z Kurdami. Niemal natychmiast rozpoczęła naloty na stanowiska Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), w północnym Iraku. Naloty na pozycje kurdyjskie

przekreśliły i tak kruchy proces pokojowy z Kurdami, rozpoczęty dwa lata temu zawieszeniem broni, wynegocjowanym między władzami w Ankarze i uwięzionym liderem Kurdów Abdullahem Öcalanem.

Turecki prezydent zakładał, że jeżeli uderzy w PKK, ta zapewne się zemści. Dojdzie do zamachów i w rozpisanych na nowo wyborach Erdoğan i jego partia AKP zaprezentują się jako jedyna siła polityczna, która jest w stanie zagwarantować spokój i bezpieczeństwo. W wyborach w czerwcu AKP nie zdobyła większości konstytucyjnej, a prokurdyjska Ludowa Partia Demokratyczna (HDP) po raz pierwszy dostała się do parlamentu. Jak się okazuje, tym razem Erdoğan dokonał właściwej kalkulacji. W głosowaniu 1 listopada AKP uzyskała konstytucyjną większość, HDP straciła część poparcia, co pozwoli Erdoğanowi skonsolidować i rozbudować swoją władzę.

Tyle, że regionalny rząd kurdyjski w północnym Iraku oraz kurdyjskie „Ludowe Jednostki Obrony” (YPG) w Syrii, powiązane z PKK, są głównym sojusznikiem zachodniej koalicji pod wodzą USA, w jej walce z IS. To na barkach syryjskich Kurdów walczących na lądzie spoczywa największy ciężar walki przeciwko dżihadystom. Kurdowie są przekonani, że Amerykanie ich sprzedali. Że byli ceną za przystąpienie Turcji do międzynarodowej koalicji przeciwko IS. Mogą więc szukać innego sojusznika w regionie. Może nim być Rosja, a nawet Iran. Może dojść do zawarcia sojuszu między reżimem w Syrii i PKK, któremu Erdoğan tak usilnie chciał zapobiec.

Kurdowie mogą też przyspieszyć ogłoszenie - lub próby ogłoszenia - przez nich niepodległości. Nie przelewają swojej krwi bezinteresownie. To 25-milionowy naród, który nie posiada własnego państwa. W Iraku

jest ich pięć milionów. Zamieszkują region autonomiczny na północy kraju. Iracka konstytucja, którą przyjęto pod amerykańską okupacją po I wojnie w Zatoce Perskiej, zapewnia im część dochodów z ropy, której złoża znajdują się poza ich terytorium. I tej autonomii oraz dochodów z ropy teraz bronią. Kiedy w czerwcu tego roku IS zajęło Mosul, czyli drugie największe irackie miasto, władze Kurdystanu wykorzystały słabość rządu w Bagdadzie i przejęły Kirkuk, centrum przemysłu naftowego kraju.

Amerykanie ich dalej szkolą oraz dostarczają im broń, wspierają ich także Niemcy i Wielka Brytania. Wobec tego Turcja przyjęła ostatnio nową strategię i usiłuje rozbić więzi łączące YPG w Syrii i PKK, wspierając po cichu walczących w Syrii Kurdów, jednocześnie bombardując pozycje kurdyjskie na północy Iraku. To kontynuacja strategii „dziel i rządź”, pod innymi przesłankami. Czy ta taktyka będzie ukoronowana sukcesem, czas pokaże. Uwidoczniała jednak główną trudność kampanii USA przeciwko IS: konfliktujące interesy sojuszników.

Do tego dochodzi kolejny problem: Rosja. Kreml postanowił pomóc Asadowi, wracając tym samym do gry po długim okresie wycofania z Bliskiego Wschodu. Jednym z powodów jest chęć przechylenia strategicznej szali na korzyść Iranu, drugim jest dostęp do Morza Śródziemnego, który dają syryjskie porty. Dlatego można już teraz prognozować, że Rosja nawet po hipotetycznym zażegnaniu konfliktu, Syrii nie opuści. Osłabienie Arabii Saudyjskiej także dlatego leży w interesie Rosji, że Saudyjczycy traktują ropę jako broń polityczną. Kraje OPEC, pod naciskiem Rijadu, odmówiły w listopadzie ur. zmniejszenia produkcji ropy. I bynajmniej nie po to, by zatrzymać amerykańską rewolucję łupkową. Geostrategiczne machinacje Kremla i wyraźne

ocieplenie relacji między Waszyngtonem a Teheranem stanowią o wiele większe zagrożenie dla Rijadu niż konieczność konkurowania na rynkach z amerykańskimi łąpkami. Rijad usiłuje się więc odegrać na Rosji i Iranie - dwóch krajach, których gospodarki są mocno uzależnione od eksportu ropy i gazu. I ta taktyka działa, bowiem oba są obłożone zachodnimi sankcjami, co radykalnie zmniejsza ich pole manewru. Chodziło o to, by pokazać Amerykanom, że wciąż są ich największym sojusznikiem i liderami świata arabskiego. A jak piękniej powiedzieć „kocham Cię” w stosunkach z Waszyngtonem, niż kopiąc dół pod Rosją?

Pod przykrywką zastąpienia „nieobecnych” Amerykanów na polu bitwy z Państwem Islamskim, Rosja tak naprawdę walczy z przeciwnikami Asada, bombardując także stanowiska umiarkowanych rebeliantów wspieranych przez USA. Daje to niebezpieczną możliwość bezpośredniego starcia się obu mocarstw w Syrii. Rosja wystawiła się tym samym także na cel dżihadystów z IS. Katastrofa rosyjskiego samolotu pasażerskiego na egipskim półwyspie Synai może być pierwszym przedsmakiem tego, co ją czeka. Dla Putina jest to jednak cena, którą warto zapłacić. Rosja chce uczestniczyć w światowej architekturze bezpieczeństwa, nie jako junior partner, co proponują jej USA, ale jako partner na równi z amerykańskim hegemonem. Udział w syryjskim konflikcie jest jednym z elementów, które mają przybliżyć Moskwę do tego celu. Jest to jasny sygnał wysyłany Stanom Zjednoczonym, że „pax americana” się skończyła. Rosja chce rozmawiać z pozycji siły, a naloty w Syrii to także próba odzyskania wpływów w Europie. Chodzi tu przede wszystkim o podważenie pozycji Stanów Zjednoczonych na Starym Kontynencie.

Operacja rosyjska w Syrii ma ogromny potencjał destabilizujący dla całego regionu: uderza w strategiczne interesy wielu państw, zaostrza rywalizację w regionie, grozi eskalacją i rozszerzaniem konfliktów, m.in. kwestii kurdyjskiej w Turcji i Iraku, radykalizacją w państwach arabskich, dalszym zaostrzaniem się konfliktu sunnicko-szyickiego. W każdym wariantcie znacząco zwiększa się pole działania dla Iranu. Ubocznym skutkiem jest znaczący wzrost ryzyka kolejnych fal uchodźców z Syrii (zwłaszcza w przypadku ofensywy lądowej sił rządowych).

Pozycja geopolityczna saudyjskiej monarchii uległa znacznemu osłabieniu, a możliwości projekcji jej interesów w regionie się zmniejszyły. Rijad przyspieszył więc prace w ramach własnego militarnego programu nuklearnego. Uruchomił się wyścig zbrojeń i coraz bardziej realna staje się możliwość bezpośredniego militarnego starcia, już nie tylko na terenach krajów trzecich „by proxy”, między Rijadem a Teheranem. Saudowie szukają w ramach „zbalansowania” rosnącej strategicznej potęgi Iranu nowych sojuszników, wyciągnęli m.in. rękę do Chin oraz Pakistanu. Oba te państwa dysponują bronią atomową.

Jeśli Państwu islamskiemu uda się utworzyć kalifat, będzie on stanowił ogromne wyzwanie dla Saudów. Państwo Islamskie nie ukrywa, że aspiruje do przewodzenia sunnitom w regionie. Dlatego bogate w ropę naftową kraje Zatoki Perskiej stanowią dla niego istotny cel. Ciężar konfliktu może się więc przesunąć i do wojny sekciarskiej może dojść konflikt wewnętrzny.

Przyszły kalifat byłby oczywiście także dużym zagrożeniem dla Iranu; jego granice przylegałyby bowiem bezpośrednio do „szyckiego półksiężyca”, tej części Bliskiego Wschodu, w której szyici stanowią większość. Tu również istnieje zatem potencjał do zaostrzenia się konfliktu, bowiem Teheran będzie zmuszony stanąć stanowczo w obronie szytów, którym przyjdzie żyć pod sunnickim okupantem. Nie jest także wcale pewne, że jeśli Iran zdecyduje się zrobić z Syrii swój Wietnam, uda mu się osiągnąć więcej niż utrzymanie status quo, którego owocami będzie musiał się podzielić z Moskwą.

Zawiążą się nowe sojusze, a stare upadną. Jeśli Kurdom uda się utrzymać tereny, które obecnie kontrolują, mogą wykorzystać sytuację do utworzenia własnego państwa, początkowo tylko w Iraku i Syrii, co zapewne spotka się ze zdecydowaną reakcją Ankary. Świat, jaki się wyłoni z obecnego chaosu, z pewnością nie będzie przypominał tego Bliskiego Wschodu, który znaliśmy sprzed wybuchu Arabskiej Wiosny. Trudno jednak dokonać szczegółowej prognozy, bowiem sojusze na Bliskim Wschodzie są płynne i w grę wchodzi wiele czynników zewnętrznych, choćby kwestia ewentualnej zmiany strategii bliskowschodnie USA po zakończeniu prezydentury Baracka Obamy.

Między Saudami a ajatollahami trwa już nie tylko zimna a gorąca wojna: wyścig zbrojeń, konfrontacja ideologiczna, przenoszenie konfliktów militarnych do sąsiadów i rywalizacja o kontrolę nad złożami ropy. Dziś to główny motor zmian w świecie muzułmańskim, ale w tej konfrontacji ktoś musi przegrać.

Aleksandra Rybińska specjalnie dla Teologii Politycznej

Autorka współpracuje z Internetowym miesięcznikiem Idei Nowa
Konfederacja oraz z tygodnikiem wSieci